

Tragedja urzędnika polskiego

Pismo dymisyjne d-ra L. Barańskiego do ministra skarbu p. Czechowicza jest wielkim aktem oskarżenia przeciwko obecnemu systemowi rządów w Ministerstwie Skarbu

Przed kilku dniami „ABC” doniosło, że w kółach rządowych omawiano jest kandydatura d-ra Leona Barańskiego, jednego z najwybitniejszych i najtęższych urzędników Ministerstwa Skarbu na stanowisko podsekretarza stanu w tem Ministerstwie.

Wiadomość ta, acz w całej rozciągłości prawdziwa, została jednak potwierdzona tylko do pewnego stopnia, gdyż p. Barański, dotychczasowy Na-

czelnik Wydziału Polityki Finansowej, mianowany został dyrektorem departamentu obrotu pieniężnego.

Mianowanie to wywołało ogólne poruszenie, gdyż równocześnie, jak wiadomo, został zdegradowany dotychczasowy dyrektor tego departamentu p. Woytkiewicz, dwóch zaś bodaj najtęższych naczelników wydziału tegoż departamentu pp. Goerne (równocześnie komisarz giełdowy) i Pawłowski (równocześnie komisarz

Banku Gospodarstwa Krajowego) przeszło „na specynek”.

Zapytywano więc, czy p. Barański, zrany ze swej nieposzlakowanej uczciwości i wysokiego poczucia obywatelskiego, w tych warunkach przyjmie proponowane mu stanowisko?

I nie przyjął... W ubiegłą sobotę złożył p. Barański na ręce p. Ministra Skarbu pismo dymisyjne, z którego obszernie streszczenia poniżej podajemy

Treść listu p. Barańskiego do ministra skarbu

Dziś dowiedziałem się z gazety, że w Departamencie, na który zostałem powołany, poczyniono wielkie zmiany: dwóch naczelników wydziału usunięto, jednego — zdegradowano.

Zupełnie nie wchodzę w to, czy zmiany te są słuszne i zupełnie nie kwestionuję też wartości nowego urzędnika (mowa o p. Klingerze — przyp. ABC).

Jednakże nie mogę zupełnie przystać na takie załatwienie sprawy, chociażby ze względu na moją osobistą powagę. Bo jedno z dwojga:

albo moi koledzy z Ministerstwa Skarbu będą uważali, że jestem zwykłym pionkiem, albo też będą mniemali, że wspomniane zmiany w Departamencie poczynione zostały w porozumieniu ze mną. Ani jedno, ani drugie, nie jest dla mnie do przyjęcia.

Fakty, o których wspominałem, utrwalają mnie w przekonaniu, że dalsza praca w Ministerstwie, chociażby przez wzgląd na moje wątle zdrowie, jest dla mnie niemożliwa, a to wobec zaniepokojenia opinii publicznej tem, co się w Ministerstwie Skarbu dzieje.

Ohawiam się też tego, że w

stosunkach finansowych kraju może zapanować chaos, gdyż wiadomo, jak wielką rolę odgrywają w tych sprawach nastroje i czynniki psychiczne. A wina za taki stan rzeczy byłaby przypisywana i mnie.

Miałem okazję w rozmowie z p. Ministrem zaznaczyć, że uniknięcie tego zamierzenia byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby zarówno Minister Skarbu, jak i cały Rząd, kategorycznie sprecyzował, ogłosił i potwierdził czynami swój program finansowy, przeciwstawiając się w stanowczy sposób wszelkim sugestjom, płynącym od czynników niepowołanych.

Niestety, to nie nastąpiło i sytuacja wikała się coraz bardziej...

Marzeniem mojego życia być służyć Polsce.

Szczęśliwy jestem, że mogłem trwać w tej służbie od pierwszej chwili odrodzenia państwowości polskiej.

Obecnie, niestety, muszę się od dalszej służby uchylić,

gdyż czuję, że nerwy moje w tych warunkach pracy, jakie się wytworzyły w Ministerstwie Skarbu, nie wytrzymają...

Proszę uwierzyć, Panie Ministrze, że w tem, co czynię, powoduję się tylko

nakazem sumienia

a bynajmniej nie chęcią utrudnienia pracy Panu Ministrowi...

Proszę o całkowite natychmiastowe zwolnienie mnie ze służby państwowej.

Zatarg w przemyśle łódzkim Dzisiaj rozstrzygnięcie

ŁÓDŹ, 12. 10. (Tel. wł.). — Wbrew wszelkim przewidywaniom, zatarg w przemyśle włókienniczym w dniu wczorajszym nie został jeszcze zlikwidowany. Na konferencji, która się odbyła w dniu wczorajszym pomiędzy związkami zawodowymi, postanowiono zwrócić się raz jeszcze do inspektora pracy z prośbą o

zwolnienie wspólnej konferencji z przemysłowcami na dzień dzisiejszy. Należy zaznaczyć, że robotnicy dają do uniknięcia strajku. W tym celu idą na ustępstwa i należy sądzić, że dzisiejsza konferencja w inspektoracie pracy będzie miała znaczenie decydujące.

„ABC” prześwieśla drożyznę

Jak ludzie różnych zawodów ją odczuwają?

P. PAWLAK
sprzedawca gazet



mówi:

„podatki i patenty, które płacimy, są wymierzane jakby na wyrost.”

P. Pawlak jest zasłużonym weteranem; przez kilkadziesiąt lat służy wiernie potężnej pani — prasie.

Z jego „koszyka” od r. 1898 kilkuset mieszkańców jego rejonu

nu czerpie codzienne sensacje. I do jego fachu wniosły ostatnie lata ciężkie trudności.

Trudno wyżyć — mówi nam p. Pawlak z tych 4 zł., które normalnie daje „koszyk”; *najszczęśliwsze dni dają 6 zł.*

Z tych dochodów trzeba przede wszystkim zaspokoić *podatki*, bo komornik nie poczeka. Ja np. płacę od obrotu 200 zł., za miejsce na ulicy 100 zł., a za patent 46 zł. rocznie.

Same cyfry mówią za siebie. Nie potrzeba żadnych upiększeń, by przekonać każdego, jak ciężkie jest nasze położenie.

A jednak w Magistracie i Izbie skarbowej nie chcą nas usłyszeć, choć jedynym wybaleniem nas od ruiny jest *obniżenie kategorii patentu i stopy podatku.*

Patenty i podatki, które płacimy, są wymierzone jakby na wyrost. Nie na nasz warszawski kolportaż pism, lecz na miarę jakiegoś amerykańskiego miasta, które pochłania milion egzemplarzy dziennie.

U nas przecież kolporter sprzedaje po kilkadziesiąt egzemplarzy dziennie.

Prace

Generalnego Inspektoratu Armji

Generalny Inspektorat Armji został już — jak się dowiadujemy — ostatecznie zorganizowany i inspektorowie w najbliższym czasie mają przystąpić do pracy, według szczegółowo przez marsz. Piłsudskiego osobiście wytkniętego programu.

Zdaniem fachowych kół wojskowych — wytyczne Generalnego Inspektora zmierzają w kierunku jaknajwydatniejszego uwzględnienia potrzeb linii i zwalczania przerostu administracji.

Sprawy techniczne Generalne-

go Inspektoratu Armji zostały powierzone generałowi Zeligowskiemu.

Inspektorów wyposażono w specjalne daleko idące pełnomocnictwa.

Ogólne kierownictwo spoczywa w rękach marsz. Piłsudskiego.

Wyszedł z druku podręcznik językoznawcy Jana Tadeusza Wróblewskiego **2330 błędów językowych** Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny: Dom Książki Polskiej. Cena Zł. 1.60. 173

BOLESŁAW ORLIŃSKI

13)

Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC”. Warszawa.

Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Na lotnisku w Charbinie dostrzegłem ruch, jakiego dotąd w mej podróży nie widziałem. Gdy wylądowałem i podrolowałem aparat do hangaru, powietrze wypełniły okrzyki:

— Niech żyją! Niech żyją!

Cała kolonia polska w Charbinie przybyła na nasze spotkanie.

Był obecny również konsul polski p. Symonowicz wraz z małżonką.

W imieniu władz chińskich przywitani mi dwaj generałowie chińscy oraz szef policji miejscowej. Rozentuzjazzmowani rodacy nie dali jednak chińczykom należycie przemówić. W najbliższym hangarze stały już nakrycia, zamrożony szampan widocznie oczekiwał oddawna na nas.

Po śniadaniu wśród niemilkących owacy odwieziono nas do konsulatu, gdzie było przygotowane wszystko na nasze przyjęcie.

Wieczorem w gospodzie polskiej odbył się uroczysty obiad przy udziale około 200 osób. Pomimo zmęczenia przez dwie i pół godziny musiałem opowiadać o tem co się dzieje w Polsce, jaką jest ta Polska.

Rozmawiając z uchodźcami polskimi w Charbinie, zdumiony byłem ich gorącym, bezinteresownym patriotyzmem. Tam właśnie, — osiem tysięcy kilometrów od Polski zachowało się to, dzięki czemu Polskę nazywano niegdyś Chrystusem narodów.

Miasto Charbin widziałem tylko przelotnie. Każ-

dą chwilę wolną od wypoczynku oddałem polakom charbińskim.

Następnego ranka na lotnisku zebrał się tłum liczniejszy może nawet, niż dnia poprzedniego. Było tam chyba z 1.000 osób. A każdy chciał chociażby kilka słów z nami zamienić, chociażby dłoń uścisnąć...

Samolot wypełniony był kwieciami. Z trudnością znaleźliśmy pomieszczenie dla siebie.

Przed samym odlotem stał się incydent bardzo oryginalny.

Ogromną popularnością cieszy się w Charbinie pewna starsza dama, zamieszkała tam już od czterdziestu lat. Bierze ona udział we wszystkich organizacjach dobroczynnych, posiada zasób energii niepożytej.

Traf chciał, że w chwili, gdy się znajdowała w pobliżu samolotu, jakiś mały chłopiec zechciał podejść bliżej, by przyjrzeć się samolotowi. Żołnierz chiński, stojący na warcie z karabinem w dłoni odtrącił go.

To widząc matrona polska szybkim krokiem zbliżyła się do chińczyka i przemówiwszy do niego w krótkich acz dobitnych słowach wymierzyła mu sprawiedliwość w postaci siarczystego policzku.

Chińczyk zatoczył się i ze zdziwienia otworzył usta. Zamknął je zapewne dopiero po moim odlocie.

Przeleciałem umyślnie nisko nad lotniskiem, by widzowie mogli sobie w pamięci utrwalić sylwetkę samolotu. Niezbyt prędko zawita tutaj prawdopodobnie inny polski ptak...

Przy pięknej słonecznej pogodzie, przy słabym przednim (od przodu) wietrze ciągnąłem na wysokości 700 — 800 metrów trzymając się ciągle kolei prowadzącej do Mukden. Same miasto pozostawiłem po stronie prawej i skierowałem się prosto w kierunku półwyspu Korejskiego.

Cały ten 500-kilometrowy odcinek od Charbina do Mukdenu pozostawił po sobie wrażenie niewyraźne. Rozstawione po równinie chińskie „fanzy” nie wywoływały tych sympatycznych refleksyj, jakie się ma lecąc nad jakimkolwiek domostwem w Europie, lub nawet na Syberji. Zamieszkiwali tam ludzie zupełnie mi obcy i obojętni.

Od Heidzio dzieliła mnie odległość niespełna 300 kilometrów, gdy doleciałem pasma gór, dzielących kontynent od półwyspu. Równocześnie pogoda widocznie w ścisłej zależności od bliskości chmur, rozpoczęła psuć się. Góry są niezbyt wysokie (najwyższe szczyty nie przewyższają 800—900 metrów) i po beznadziejnie nudnym grzbiecie Chinganu robią wrażenie przyjemne. Malownicze złoże skalne pokryte są krzewami, — w dolinach widać już całe lasy.

Przyjemne te refleksje musiałem jednak zostawić na później, gdyż motor bez żadnej zewnętrznej przyczyny rozpoczął strzelać. Podzieliłem się moim spostrzeżeniem z Kubiakiem, który po dłuższym namyśle postawił diagnozę:

— Woda w benzynie!

Cóż począć z tą wodą? Najbliższe lotnisko przed nami było w Heidzio, to też postanowiłem dociągnąć maszynę pomimo szwankującego motoru te paręset kilometrów. Tutaj jednak wyloniła się inna przeszkoda, — w postaci pogody. Gdy minęłam Antung, przełatując nad rzeką Jalu, nad którą rozegrał się szereg wielkich bitew podczas wojny rosyjsko-japońskiej, dostrzegłem wielkie postrzępione chmury, które rozsiadły się na szczytach górskich i nie zdradzały wcale zamiaru opuszczenia ich. Po kilku minutach nurzałem się w tych chmurach, lawirując między szczytami górskimi, omijając częste ulewę, które obficie polewały stoki górskie. Takie lawirowanie omal nie zakończyło się katastrofą.

(C. d. n.).